

(...)

1939

Ewa Radzewicz, najstarsza spośród czworga dzieci Edwarda i Marii z Łąckich, nie zdążyła wyrosnąć z zabawy lalkami, gdy rodzina obarczyła ją misją. Otóż niechęć podслуchała, iż jej dziadek Joachim, przyjaciel Tomasza Zajezińskiego, na łożu śmierci cztery lata wcześniej wyraził życzenie, by obie rodziny połączyły się poprzez związek małżeński. Mimo dobrosąsiedzkich stosunków trwających od ponad stulecia dotychczas się to bowiem nie udało.

W kolejnym pokoleniu sprawa również nie wyglądała na prostą. Parantele Adama Toroszyna, jedyne go kandydata na męża Ewy, prezentowały się dość dziwnie. Jeden z jego dziadków był Rosjaninem, ojciec, który mu zresztą nie dał nazwiska, spolszczonym Niemcem, matka zaś artystką podkasanej muzy! W dodatku chłopaka łączyło z Zajezińskimi zaledwie powinowactwo, nie pokrewieństwo!

Jednakowoż Radzewiczowie, których Cieciorka sąsiadowała z Zajezińcami, znali go od urodzenia. Wiedzieli także, że ksiądz Paweł Zajeziński nie zamierzał wracać do kraju po studiach teologicznych w Rzymie i pobłogosławił Adama na przyszłego właściciela majątku. Z braku następcy oraz przez wielki sentyment, jaki doń żywił wuj, hrabia Tomasz, wydawało się oczywiste, że usynowi on chłopaka, czyniąc go dziedzicem ogromnego majątku. Zresztą i teraz Adam nie był byle hetką-pętelką¹. Ojciec zostawił mu bowiem w spadku wiele akcji, które chłopak miał objąć już za osiem lat, to jest z chwilą osiągnięcia dwudziestego piątego roku życia.

Radzewiczowie nie wątpili, iż Adama Toroszyna czeka piękna przyszłość, a co ważniejsze, patrzyli nań przychylnym wzrokiem. Choć nie stronił od rozrywek, był młodzieńcem nad wiek poważnym i statecznym. Dobrze wychowany przez babkę, Kingę Pawlak, i ciotkę, hrabinę Adriannę Zajezińską, które opiekowały się nim w najmłodszych

¹ Człowiek mało znaczący, chłystek.

latach dziecięctwa, znał języki i po zdaniu matury planował studiowanie rolnictwa lub weterynarii.

Radziewiczom bardzo by odpowiadał taki zięć, ale z powodu wieku dzieci nikt na razie nie myślał poważnie o ich małżeństwie. Zresztą czasy się zmieniły i zdanie młodych również musiało być brane pod uwagę. Mogli się przecież zwyczajnie sobie nie spodobać. Pokolenie wcześniej tak się właśnie stało. Grażyna Toroszyn stanowczo odmówiła oddania swojej ręki ojcu Ewy. Parsknęła matce i ciotce prosto w twarz, wyśmiewając Edusia. A przecież to on jej wtedy wyświadczał zaszczyt! Może zresztą dobrze się stało, bo hardości i ekstrawagancji Giny starczyłoby dla kilku innych dziewcząt. Kto wie, jaką byłaby panią na Cieciorce? Czy z czasem zyskałaby na stateczności, rozwadze, gospodarności, niezmiennie najbardziej cenionych przez rodzinę?

Z charakteru Adam chyba bardziej przypominał ojca, toteż mimo poplątanych korzeni, mimo faktu, że Grażyna nie poślubiła ojca chłopaka, Radziewiczowie całkiem poważnie rozważali spełnienie prośby dziadka Joachima. Dzieciaki zresztą się polubiły. Ewa, jedenastolatka z długim popielatym warkoczem i poczuciem misji, chętnie przyjeżdżała do pałacu.

Trzej młodszy bracia: Jan, Jerzy i Zbigniew, zostawali przy rodzicach, płacząc się wokół stołu lub oddani pod opiekę służby, dlatego tylko ona mogła stanowić towarzystwo dla starszego o sześć lat Adama. Wybierali się czasem konno do lasu, on z wielką cierpliwością uczył ją grać w tenisa, pływali też łódką po jeziorze. Hrabia pozwalał nawet, aby woził dziewczynę do bramy pałacowej jego autem.

W oczach Ewy siedemnastolatek był już dorosły. Imponowało jej, że jest traktowana z szacunkiem, niczym rówieśnica. Podczas tych wizyt spacerowała pałacowymi korytarzami wyprostowana niczym księżna, gotowa zostać jego żoną choćby dziś. Uwielbiała starego hrabiego, który nazywał ją królowną i w tajemnicy częstował łakociami, specjalnie zamawianymi Pod Aniołem.

W chwili, która wydała jej się najodpowiedniejsza, podczas przejażdżki samochodem wuja Tomasza dookoła klombu, Ewa westchnęła i wyznała Adamowi z głębi serca:

- Jeśli tylko zechcesz, wyjdę za ciebie za mąż!
- Naprawdę? – zapytał rozbawiony. Do głowy mu nie przyszło, by brać serio tę deklarację.
- Nie jestem dla ciebie za stary?

– Jeśli się pokochamy, różnica wieku będzie bez znaczenia – odparła poważnie, cytując fragment zasłyszanej wcześniej rozmowy rodziców.

– A jeśli nie?

Pytanie Adama zaskoczyło dziewczynę, bo nawet jej to w głowie nie powstało! Teraz jednak musiała się przez moment zastanowić.

– Ja ciebie będę kochała zawsze! – oświadczyła z namaszczeniem, a on uśmiechnął się i po chwili nie pamiętał już tej rozmowy.

Kilka dni później w cukierni Pod Aniołem lody z niesionego przez Celinę Cieślak pucharka spadły na plecy Adama. Od tej chwili Ewa Radzewicz miała konkurentkę.

W drugiej połowie upalnego sierpnia 1939 roku zrobiło się bardzo gorąco również w polityce. Rosnące z dnia na dzień nierealne żądania i prowokacje niemieckie zaogniły stosunki międzynarodowe, wskazując wyraźnie na niebezpieczeństwo wybuchu wojny. Realisci mówili zresztą o niej od dawna. Optymiści łudzili się jeszcze, ale i dla nich stawało się jasne, że pokój zawisł na włosku.

Hrabia i jego rządcą oraz szwagier w jednej osobie, Zdzisław Pawlak, przybrany dziadek Adama, zastanawiali się z niepokojem, czy w tak niepewnym czasie nie nakazać chłopcu, aby pozostał na wsi. W Warszawie nie było bowiem jego matki, która ze swoim aktualnym mężem, Janem Bergerem, wiozła go po krajach Lewantu².

Od kilku lat Adam sam odbywał podróż na trasie Warszawa–Zajezieryce, od wczesnej wiosny do późnej jesieni statkiem do Płocka, zimą zaś, gdy Wisłę skuł lód, najczęściej koleją do Gutowa. W umówionym miejscu odbierał go kierowca hrabiego albo sam Pawlak, powożący bryczką lub saniami. Młodzieniec wracał w podobny sposób: zegnany na dworcu w Gutowie lub na płockiej przystani. W podróży świetnie sobie radził sam, teraz jednak wszystko mogło się wydarzyć i Pawlak oraz hrabia jako jego opiekunowie, obawiając się wojny, woleli mieć na chłopca baczenie.

Adamowi zresztą wcale tak bardzo nie spieszyło się z powrotem. Od chwili gdy przy okazji nieszczęśliwego wypadku z lodami poznał rodzinę Cieślaków, a zwłaszcza Zygmunta i Celinę, pobyt na wsi odpowiadał mu jeszcze bardziej. Kiedy tylko mógł, pędził do Gutowa, dokąd wiodły go przyjaźń i pierwsze porywy serca, których zresztą na razie nie tylko nie rozumiał, ale nawet nie rozpoznawał.

Po tych wizytach pani Cieślak naiwnie spodziewała się zaproszenia do pałacu, bo jakkolwiek hrabia jej nie zaszczycił, ona była gotowa zaszczycić jego. Zadzwoiła nawet do

² Bliski Wschód, kraje wschodniego wybrzeża Morza Śródziemnego.

męża, który wciąż przebywał w Warszawie, mó-wiąc mu, że poznała Zajezierskiego. Paweł, jak zwykle zaabsorbowany pracą, zapytał tylko:

– Tak? I co?

W sumie nie zdarzyło się nic wielkiego, bo na kupieniu koszuli i kilku wizytach młodego Toroszyna u nich w domu sprawa się na razie zakończyła. Najwyraźniej hrabia nie przejawiał ochoty na zacieśnianie nowej znajomości.

Zycie Cieślak nie przeszło przez myśl, że jej mężem, pozornie tak niezainteresowanym, targały sprzeczne emocje. Chociaż rzadko tracił panowanie nad sobą, usłyszawszy nowinę, poczuł falę gorąca. Zdawał sobie sprawę, że to się może kiedyś zdarzyć, właściwie nawet oczekiwał tej chwili. Kilka razy widział hrabiego w Gutowie, ale zawsze z daleka. Na razie nie umiał się zdobyć na pierwszy krok. Nie prowokował spotkania, bo wciąż najbardziej bał się stracić nadzieję na przychylność Zajezierskiego. Ten lęk był silniejszy od pokusy stanięcia z nim twarzą w twarz i powiedzenia tego, co od tak dawna leżało mu na sercu.

Dlatego cieszył się, że żona nie zadzierzgnęła bliższych kontaktów z hrabią. Za wszelką cenę chciał bowiem uniknąć posądzenia, że wysłał kobiety, aby załatwiły za niego sprawę. Wyszędłby na tchórza, a wszystko – od lodów na koszuli chłopaka po ostatnie, najbardziej intymne wyznanie – mogłoby zostać uznane za jakiś niecny, z góry ukartowany spisek.

Oczywiście Cieślak niczego od Zajezierskiego nie chciał, nie oczekiwał i nie spodziewał się dostać. Pragnął jedynie zaleczyć ranę. Pokazać pierścień i spojrzeć hrabiemu w oczy. Zasięgnął w mieście języka i dowiedział się, że starszy pan to osobowość kostyczna, daleka od sentymentów, arystokrata z krwi i kości, patrzący na wszystkich dookoła z wyższością godną człowieka jego urodzenia. Cieślak nie żądał odeń czułości, co więcej, bał się jej. Liczył na męską rozmowę, na szansę opowiedzenia, jak świetnie sobie radzi tylko i wyłącznie dzięki własnym talentom i pracy.

Chciał też uświadomić hrabiemu, że unieszczęśliwił Mariannę. Obiecał to sobie po otrzymaniu wiadomości o śmierci matki, cierpiąc w gorączce podczas niekończących się szpitalnych dni i nocy we Francji, kiedy zdał sobie sprawę, że sama nie upomni się o swą krzywdę. Nade wszystko jednak pragnął zobaczyć w oczach Zajezierskiego podziw. Chęć udowodnienia własnej wartości nigdy niewidzianemu ojcu stanowiła bowiem siłę napędową wszystkich działań Pawła Cieślaka. Dlatego ciągle mu było mało sukcesów i pieniędzy, nowych wyzwań i powoływanych do życia firm. Z tego powodu nie ustawał w wysiłkach, aby firma Cieślak&Cieślak rosła i potężniała.

Paweł Cieślak nie szukał ojca, bo go w istocie miał. Marian Cieślak, drobny złodziejasek z Powiśla i przedsiębiorca pełną gębą, najukochańszy i jedyny dziadek jego dzieci był dlań nie tylko teściem, ale również ojcem i przyjacielem. Z tego powodu Paweł trzymał na wodzy swe synowskie zapędy. Tych dwóch: Marian Cieślak i Tomasz Zajeziński pochodziło z różnych światów, on sam zaś w jakimś dziwnym rozdarciu nie umiał się zdobyć na radykalny krok i wybrać jednego lub drugiego. Dlatego tłumił odżywającą raz po raz chęć, aby pojechać do pałacu pod jakimkolwiek pretekstem. Zresztą wymyślona naprędce przyczyna nie wystarczyłaby do spotkania z hrabią. Powód musiał być mocny, solidny, aby wymagał zaangażowania samego jaśnie pana, a nie rządcy czy któregoś z lokajów. Do byle kogo hrabia nawet by nie wyszedł.

Cieślak najchętniej wyobrażał sobie, że stoi przed Zajezińskim, a on poznaje go po rysach twarzy i niczego nie muszą mówić, niczego wyjaśniać, sama krew za nich przemawia. To jedno spojrzenie nosił w duszy od dawna, od dnia, kiedy matka wyznała mu prawdę, którą jedynie mgliście podejrzewał. Ale dalej nigdy nie udało się mu myślą wybiec, bo nie potrafił wyobrazić sobie, co miałyby nastąpić potem. Przewidywał różne reakcje Zajezińskiego, wiele słów słyszał, lecz żadne nie było tym właściwym, bo nie wierzył, że hrabia chociaż raz powie doń: „Synu!”.

By wyrzekł to słowo, musiałyby się zdarzyć jakaś straszliwa, tragiczna sytuacja, która zbratałaby ich w nieszczęściu, a Zajeziński, zdany na jego łaskę i niełaskę, powściągnąłby wreszcie swoją hardość. Ale nawet wyobrażając sobie taką sytuację, Paweł Cieślak wzbraniał się przed włożeniem w usta hrabiego jednego słowa, które mogłoby ich pojednać.

To wszystko wróciło, gdy Zyta relacjonowała mu świeżo zawartą znajomość. Jak niewielkie miał zaufanie do żony, skoro nie tylko nie znała prawdy, ale nawet się jej nie domyślała! Nikt zresztą się nie domyślał. Marian Cieślak również, bo wszak poznał swojego przyszłego zięcia jako obywatela amerykańskiego, syna irlandzkiego emigranta Iry Connora, boksera i łowcy talentów sportowych.

Nawet kiedy Paul zaczął się kręcić u boku jego córki, Cieślak nie drążył, nie sprawdzał dat ani faktów, bo i po co? Po pierwsze sam miał wiele na sumieniu. Po drugie nie spodziewał się żadnych rewelacji. Wreszcie lubił chłopaka i cenił bez względu na to, kto był jego ojcem. Ostatecznie Paweł ujął go tym, że tak zdecydowanie stanął po jego stronie, kiedy kilka lat po tragicznej śmierci żony zachciało mu się poślubić młodkę. To on przekonał wtedy Zytę, że Marian Cieślak nie jest za stary na powtórne małżeństwo.

Gdyby więc teraz choć przez chwilę przypuszczał, że Paweł ciągle gryzie się tą niezalążoną sprawą, że wciąż czuje się bękartem pozbawionym korzeni, może i sam by

pojechał do hrabiego, by wszystko wyjaśnić, naturę bowiem miał szczerą, a charakter popędliwy. Na szczęście on też nie wiedział.

Relacjonując mężowi wydarzenia minionych dni, Zyta Cieślak nie przyznała się do tego, jak bardzo zabiegała o kolejne wizyty młodego Toroszyna, jak budowała w marzeniach swoją znajomość z jego matką, słynną gwiazdą Giną Weylen.

Doskonale pamiętała występy artystki w Czarnym Kocie, na które chadzali całą rodziną. A ostatnio, nim wynieśli się z Warszawy, nowy program w teatrzyku rewiowym, nazwanym jej imieniem. Wszyscy Cieślakowie podziwiali Ginę w niezliczonych rolach filmowych, słuchali jej piosenek nadawanych w radiu, podśpiewując wspólnie łzawe refreny. Dla poznania takiej znakomitości warto było znosić prowincjonalną nudę.

Czujnemu oku pani Cieślak nie uszło, że Adam wodzi za Celiną maślanym wzrokiem, toteż jak umiała, podsycala ten ogień, zapraszała chłopaka, odwracała się lub wychodziła z pokoju, by młodzi mogli czuć się swobodnie. O kogo jej właściwie bardziej chodziło, o młodzieńca, jego matkę czy hrabiego, w zasadzie nie potrafiła powiedzieć. Ale nagle poczuła, jakby wciąż mieszkała w Warszawie otoczona interesującymi ludźmi, którzy znajdowali się na wyciągnięcie ręki. I choć perspektywa zbliżenia z hrabią Tomaszem czy Giną Weylen była w Gutowie równie odległa jak w stolicy, Zyta Cieślak dziękowała Bogu za owo zrządzenie losu i za lody, które wypadły z pucharka Celiney prosto na plecy Adama. Ani przez chwilę nie dopuściła do siebie myśli, że to nie mógł być przypadek.

Celina sama zresztą dziwiła się swojej śmiałości. Może się wtedy naprawdę potknęła? Nikt tego nie kwestionował. Zobaczyła Adama lekko zgarbionego przy stoliku i poczuła, jakby ktoś podstawił jej nogę, pociągnął za rękę i popchnął wprost na niego. Nigdy by przecież nie wykalkulowała takiego przedsięwzięcia. Nigdy, przenigdy z własnej woli nie zaczęłaby chłopaka w obecności jego wuja, hrabiego! Zresztą kto to widział, żeby w ten sposób zawierać znajomość?! Powinna była poczekać na jakiś wieczorek taneczny w jednym z zaprzyjaźnionych domów, miejscowy bal debutantek, na który poszłaby z ojcem, matką i bratem, albo na bal karnawałowy w Resursie Kupieckiej, jak się to zazwyczaj odbywało.

Ale przecież Adam nie mieszkał w Gutowie! Im dłużej o tym myślała, tym bardziej gotowa była wierzyć, że coś nią kierowało, jakaś pomocna dłoń opatrności. Dlatego nawet nie złościła się za bardzo, kiedy młodsze rodzeństwo żartowało z jej potknięcia:

„Ojej! Bardzo przepraszam! Naprawdę! Ja to zaraz wytrę, niech się kawaler nie gniewa...”
– wołali, chcąc zrobić siostrze na złość.

Ale ona wiedziała swoje, czekała na to od dawna.

Słońce przechyliło się już na zachodnią stronę jeziora Nyć i zbliżała się pora podwieczorku. Adam pędził konno od strony mostu na Rudawce w kierunku Zajezierzyc. Przed chwilą pożegnał Celinę tuż przed Gutowem, odprowadzając ją najbliżej, jak się dało, i teraz leciał na złamanie karku, bo wiedział, że wuj Tomasz nie zacznie posiłku bez niego.

Z przykrością i bólem rozstawał się z dziewczyną, która wiele ryzykując, wyrwała się z domu i pod pretekstem wycieczki rowerowej przyjechała aż tutaj. Most znajdował się mniej więcej w pół drogi między Gutowem a wsią i oboje mieli do pokonania kilka kilometrów. A teraz będzie musiała wrócić w taki sposób, by nie wzbudzić niczyich podejrzeń. Czy jej się to uda?

Kiedy zaproponował spotkanie, był pewien, że odmówi. Miała dopiero czternaście lat, musiała wcześniej przygotować matkę, uknuć intrygę, skłamać, że jedzie do Lucyny albo innej przyjaciółki, bo przecież nie mogła powiedzieć prawdy! Pani Hryć stanowczo zakazałaby córce spotykania się z mężczyzną na takim odludziu! To było nie tylko niestosowne, ale wręcz niebezpieczne! Sześć kilometrów od miasta, z czego cztery wiodły przez las. A jednak przyjechała! Mimo wszelkich niebezpieczeństw, mimo faktu, że narażała swoją reputację dziewczyny z dobrego domu, odważyła się na tę samotną podmiejską eskapadę.

Drżała przez cały dzień z obawy, aby w ostatniej chwili nie stało się coś, co uniemożliwiłoby jej spotkanie: żeby nie spadł deszcz albo nie rozszalała się burza, bo piorunów lękała się okrutnie, bardziej jeszcze niż złych ludzi, których mogła spotkać w lesie. Ale pogoda była piękna, słoneczna, późne popołudnie, ruch na drodze niewielki.

Adam przyjechał przed czasem. Luźno uwiązał konia do olchy rosnącej na łące poniżej mostu. I gdy gniadosz leniwie skubał trawę, chłopak, opierając się o drewnianą poręcz, patrzył w kierunku Gutowa i czekał. Już z daleka zobaczył czerwony rower Celiny. Lekko pochylona nad kierownicą, dzielnie naciskała pedały, pędząc, ile tchu w piersi. Gdy zsiadła, wziął od niej rower i oparł o most. Spojrzała na niego z nieśmiałym, pytającym uśmiechem.

– Przepraszam – powiedział najzwyczajniej na świecie, i właśnie uświadomił sobie, jak samolubna była prośba, by spotkali się właśnie tu.

Trochę zawiedziona, odparła tylko:

– Nie ma za co.

Oboje szukali słów, chcąc nazwać to, co czuli, ale oszołomieni sytuacją i swoją bliskością, skrępowani i przerażeni, na razie nie potrafili ich znaleźć. Tyle szczęścia schwytali nagle w

ramiona, że żadne znane z piosenek czy wierszy określenie nie wydawało się im dość piękne, dość wyraziste.

Stojąc na moście, obserwowali taflę wody, w której odbijały się korony drzew i majestatyczne chmury, wolno sunące przez nieboskłon.

– Chciałem cię zobaczyć.

– Aha.

– Niedługo wyjeżdżam.

– Wiem.

Za kilka dni kończyły się wakacje i ludzie ciągle mówili o wojnie. Celinie z niczym się to nie kojarzyło. Uczyła się na lekcjach historii o różnych konfliktach zbrojnych, ale one toczyły się tak dawno, jeszcze przed jej narodzinami. Ojciec opowiadał też czasem straszne rzeczy o minionej wielkiej wojnie, o zabitych ludziach i zniszczonych miastach, o tym, jak przemoczony, głodny i zziębnięty całymi dniami wyczekiwał w okopach zmiany, aby choć trochę odpocząć. Jak zapadał w krótką drzemkę z głową na karabinie, jak w końcu zobojętniał na widok krwi i trupów. Przeprowadzili się w te okolice właśnie ze względu na przepowiadaną przez Ossowieckiego kolejną zawieruchę.

Ale Celina traktowała to wszystko jak opowieści o przykrych przypadkach z życia innych ludzi. Adam zamierzał niedługo wyjechać do Warszawy, co było okrucieństwem losu gorszym od wszystkich wojen, bo ledwie go poznawszy, będzie musiała przez długie miesiące cierpieć z powodu rozłąki.

– Chciałbym ci coś ofiarować – stwierdził chłopak, wyciągając z kieszeni małe pudełeczko.

W środku znajdował się odpustowy pierścionek z czerwonym szklanym oczkiem.

Celinę oblał rumieniec wstydu i dumy. Oto tu, na tym mostku, w obliczu nieba, ziemi i płynącej Rudawki, ona, Celina Cieślak, zaręczała się z tym mężczyzną, Adamem Toroszynem!

Przyrzekła sobie w duchu, że będzie go kochała zawsze, nie miała jednak dość odwagi, aby to powiedzieć, wyszeptała więc tylko:

– Prześliczny!

– Nie jest ze złota – wyznał przepraszająco, ale ona i tak patrzyła nań niczym na swój własny, oprawiony w platynę Koh-i-Noor³.

³ Jeden z największych (105 karatów) i najcenniejszych brylantów świata, obecnie zdobi koronę brytyjskiej królowej matki.

– Założysz?

Podawała mu dłoń, a on wsunął jej pierścionek na serdeczny palec lewej ręki.

„Tak blisko serca!” – pomyślała i ze wzruszenia pociągnęła nosem.

Adam przeniósł wzrok na podmokłe łąki rozpościerające się po obu brzegach rzeki i powiedział jakby do siebie:

– Niedługo koniec wakacji...

– Myślisz, że będzie wojna? – zapytała z lękiem.

– Wuj i dziadek twierdzą, że to tylko kwestia czasu.

– Mój tata też tak mówi – wyszeptała cicho. – Spotkamy się jeszcze? – dodała jeszcze ciszej, patrząc w wodę.

– Jeśli tylko zechcesz... – odrzekł Adam i leciutko dotknął jej dłoni.

Gdy potem pędził na skróty polami, uśmiechał się do siebie w poczuciu męskiej dumy i czułości, która zalewała mu serce. Dotarł na miejsce nie wiadomo kiedy. Zeskoczył z konia i stukając butami na kamiennej posadzce, przebiegł pałacowe korytarze.

Wuj Tomasz już na niego czekał. Siedząc w plecionym fotelu na tarasie, palił cygaro i w zadumie spoglądał ku zachodzącemu słońcu oraz błękitnej tafli jeziora Nyć, przezierającego zza drzew. Adam z westchnieniem usiadł w drugim fotelu. Na paterze pyszniły się piękne gruszki magdalenki. Sięgnął po jedną, a w tej samej chwili wuj, wciąż zapatrzony w dal, zaczął zniecka:

– Adamie...

– Tak, wuju?

– Chyba będzie burza.

Chłopak chciał się roześmiać, zaprzeczyć, bo wszak nic na to nie wskazywało: ani rześkie powietrze, ani niemal bezchmurne niebo, ani czerwieniejące słońce, zwiastun dobrej pogody. Rzucił okiem na zasmucone oblicze starca i zrozumiał, że patrzy on dalej, niż sięga horyzont. Ponieważ kochał wuja i wierzył w jego mądrość, a serce wciąż przepelniało mu tkliwe wspomnienie odkrytej dopiero co pierwszej miłości, odpowiedział tylko:

– Nawet jeśli, wuju... Nawet jeśli, to jakoś ją przecież przetrwamy...

(...)